

STANISŁAW OBIREK

PIWO THOMASA MERTONA PO RAZ DRUGI, CZYLI MISTYKA WCIELONA

„Prawdziwym źródłem i podstawą jedności jest pozostawanie w miłości z Bogiem, fakt, że miłość Boża wypełnia tajniki naszego serca przez Ducha Świętego, który został nam dany (Rz 5, 5). Przyjęcie tego daru kontynuuje nawrócenie religijne i prowadzi do nawrócenia moralnego, a nawet intelektualnego”.

Bernard J.F. Lonergan, *Metoda w teologii*

„Nie ulega wątpliwości, że Thomas Merton był nałogowym «diarystą». Swoje myśli porządkował, pisząc, zwłaszcza utrwalając swoje przemyślenia na kartach *Dziennika*”.

Patrick Hart

„Może więc prawdziwa żarliwość nie dzieli, lecz łączy. I nie prowadzi ani do fanatyzmu, ani do fundamentalizmu. Może któregoś dnia żarliwość wróci do naszych księgarń, do naszych umysłów”.

Adam Zagajewski, *Obrona żarliwości*

Już raz pisałem o piwie Mertona w 1995 roku na łamach kwartalnika „Życie Duchowe”. Wówczas, powołując się na Henry’ego Nouwena, chciałem przybliżyć Mertona jako człowieka zanurzonego w życiu, zaciekawionego wszelkimi jego przejawami, zafascynowanego jego prozą, znajdującego przyjemność także w picu piwa czy whisky. Tym razem piwo pozostanie tylko w tytule, bowiem tak naprawdę było ono dla niego jedynie pretekstem do nawiązywania kontaktów z ludźmi. Niekiedy wyrzucał sobie, że za dużo wypił czy za dużo zjadł, ale w istocie ogarnięty był jedną pasją – Bogiem.

Można nawet powiedzieć, że był pijany Bogiem, pragnął Go ujrzeć za wszelką cenę, i że to pragnienie zostało zaspokojone w zetknięciu ze skalnym wizerunkiem Buddy.

* * *

Zetknąłem się z jego książkami późno, już w czasie studiów. Pamiętam, że mnie zaciekał, ale nie mogę powiedzieć, że mną wstrząsnął czy że mnie ukształtował.

Inne wtedy czytaliśmy książki, innym fascynacjom ulegaliśmy. Poza tym jego *Dziennik* był wówczas jeszcze niedostępny. Później się dowiedziałem, że sam Merton z dużym dystansem odnosił się do swoich ascetycznych książek, prawie w całości się od nich odżegnywał, wyrzucając sobie duchową próżność, a nawet swoiste poczucie wyższości, wcale niedalekie od pychy...

Tak więc nieświadom tego przewartościowania w dobrej wierze czytałem *Siedmiopiętrową górę, Nikt nie jest samotną wyspą czy/ Znak Jonasa*. Te książki „dało się czytać”. Ich autor nie uciekał w czczą i irytującą nowomowę pobożnych dywagacji. Pisał o szczęściu, jakie daje poczucie obecności Boga, odwoływał się do Biblii, tradycji monastycznej i klasyków mistyki chrześcijańskiej. Nie moralizował, lecz dzielił się tym, co dla niego w tej tradycji było ważne.

Ten pierwszy kontakt z Mertonem nie minął bez śladu, skłamałbym jednak, gdybym powiedział, że wywarł na mnie głęboki wpływ. Zajmowały mnie wtedy książki mniej pobożne, wszak głębiej, jak mi się wydawało, zanurzone w rodzimą tradycję i bliższą mi historię. Zbyt bolesne i nazbyt odczuwalne konsekwencje poczdamskich i jałtańskich decyzji sprawiły, że instynktownie niemal szukałem głosów nazywających to, czym żyliśmy. A więc łapczywie pochłaniałem zakazanego Witolda Gombrowicza, nasłu-

chiwałem dyskretnie obecnego Zbigniewa Herberta, ocierałem się o Czesława Miłosza, z trudem dowierzałem Gustawowi Herlingowi-Grudzińskiemu, do łez bawił mnie Sławomir Mrożek, niepokoił Franz Kafka, fascynował Bruno Schulz. Thomas Merton zdecydowanie nie przystawał do tego towarzystwa. Krótko mówiąc, jego problemy nie były moimi problemami.

Dopiero niedawno powróciłem do Thomasa Mertona, i to za sprawą jego *Dzienników*, poezji i esejów literackich, a nade wszystko jego fascynacji Wschodem, zwłaszcza buddyzmem. Nie mogę nie wspomnieć o jego korespondencji z Czesławem Miłoszem. Nie jestem pewien, czy jest to ten sam Merton, mnie jest on w każdym razie bliższy. To Merton szukający, zagubiony raczej, skłócony ze swoim przełożonym, z Kościołem hierarchicznym, nie rozumiejący niezbędnych jakoby kompromisów. A jednak trwający i w zakonie, i w Kościele.

Dziennik Mertona jest zbyt bogaty i nazbyt wiele wątków zawiera, dlatego musiałem zdecydować się na wybór. Ufając, że będą to wątki komplementarne względem innych wystąpień, wybrałem dwa: pragnienie Boga i napięcie wobec instytucji Kościoła. Przedwczesna śmierć zatrzymała ów dramatyczny proces szukania prawdy o sobie i Bogu wewnątrz Kościoła. Śledząc zmagania Thomasa Mertona, zwłaszcza w ostatnich latach, jesteśmy nie tylko świadkami jego poszukiwań, ale zaczynamy sami zadawać sobie pytania, kim jesteśmy, kim jest dla nas Bóg i jaką rolę w naszym życiu odgrywa Kościół.

1. Dotknąć Rzeczywistości

Patrick Hart słusznie zapewne sądzi, że poszukiwanie samotności „jest przewodnim motywem wszystkich pism Mertona, a zwłaszcza jego *dzienników*”¹, wszak nie o samotność Mertonowi chodziło, ale o Boga. Widać to wyraźnie zwłaszcza w ostatnich latach tragicznie przerwane go życia. Zaczęło się od końca, od iluminacji, jaką Merton przeżył na sześć dni przed śmiercią. Zwiedzając Polonnaruwę, kontemplując posagi Buddy, jest zaskoczony przeżyciem odmieniającym jego spojrzenie na otaczającą rzeczywistość. Piszze: „Gdy tak patrzyłem na te posagi, zostałem nagle, niemal przemocą, odarty ze zwykłego, na wpół ograniczonego sposobu widzenia rzeczy i jakaś wewnętrzna klarowność, przejrzystość, eksplodująca jakby

¹ Por. jego *Przedmowę* do Th. Merton, *Dziennik azjatycki*, tłum. E. Tabakowska, Kraków 1993, s. 13.

z wnętrza samych skał, stała się widoczna i oczywista. (...) Nie pamiętam, żebym kiedykolwiek w życiu miał tak silne poczucie piękna i mocy duchowej, połączonych ze sobą w estetycznej iluminacji. Jest oczywiste, że dzięki Mahabalipuram i Polonnaruwie moja azjatycka pielgrzymka znalazła wyjaśnienie i oczyszczenie. To znaczy, wiem i zobaczyłem to, czego w niejasny sposób szukałem. Nie wiem, co jeszcze pozostaje, ale zobaczyłem i przebiłem się przez powierzchnię i dotarłem w głąb, poza cień i przebranie. To jest Azja w całej swojej czystości, nie zagrzebana pod śmieciami, ani azjatyckimi, ani europejskimi, ani amerykańskimi, i jest oczywista, czysta, kompletna. Mówi wszystko, nie brak jej niczego¹².

Powtórzmy raz jeszcze: „Nie wiem, co jeszcze pozostaje, ale zobaczyłem i przebiłem się przez powierzchnię i dotarłem w głąb, poza cień i przebranie”. Czy przesadą będzie stwierdzenie, że w tym momencie Merton osiągnął cel życia? Wydaje mi się, że właśnie tak się stało. Przypomina mi to inne przeżycie mistyczne, o którym mówi św. Ignacy Loyola w swojej autobiografii: „I kiedy tak szedł zatopiony w swoich modlitwach, usiadł na chwilę zwrócony twarzą ku rzece, która płynęła głęboko w dole. I gdy tam tak siedział, zaczęły się otwierać oczy jego umysłu. Nie znaczy to, że oglądał jakąś wizję, ale że zrozumiał i poznał wiele rzeczy tak duchowych, jak i odnoszących się do wiary i wiedzy. A stało się to w tak wielkim świetle, że wszystko wydało mu się nowe. To, co wtedy pojął, nie da się szczegółowo wyjaśnić, choć było tego bardzo wiele”. Ignacy dodaje bardzo znamienity komentarz do swojej wizji, która tak naprawdę (jak u Mertona zresztą) wizją nie była: „Otrzymał wtedy tak wielką jasność dla umysłu i do tego stopnia, że jeśli rozważy całe swoje życie aż do 62. roku życia i jeśli zbierze razem wszystkie pomoce otrzymane od Boga, i wszystko to, czego się nauczył, i choćby to wszystko zebrał w jedno, to i tak nie sądzi, żeby to wszystko dorównywało temu, co wtedy otrzymał w tym jednym przeżyciu¹³”. W jednym i drugim przypadku mamy do czynienia z nowym spojrzeniem na dotychczasowe życie. Wiemy, do czego doprowadziło ono Ignacego Loyolę, późniejszego założyciela zakonu jezuitów, co do dalszych losów Mertona pozostają domniemania. W każdym razie jednego i drugiego prowadziła do tego doświadczenia długa droga.

¹² *The Other Side of the Mountain. The Journal of T. Merton*, vol. 7, 1967–1968, red. P. Hart, San Francisco, s. 323; cyt. za T. Merton, *Dziennik azjatycki*, tłum. E. Tabakowska, Kraków 1993, s. 216.

¹³ I. Loyola, *Opowieść pielgrzyma. Autobiografia*, przekł. M. Bednarz, Kraków 2002.

Gospodarz naszej sesji, abp Józef Życiński, w swoich *Zamyśleniach* kreślonych na łamach „Plusa Minusa” w „Rzeczpospolitej” (5–6 października 2002 r.) nie bez satysfakcji zanotował: „W końcu października odbędzie się na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim międzynarodowa sesja poświęcona duchowemu dziedzictwu Thomasa Mertona. Poszukując do niej materiałów w Internecie, poleciłem, by wyszukiwarka *alltheweb.com* zgromadziła dostępne teksty, w których pojawia się określenie «Thomas Merton». Po chwili otrzymałem informację, że ich zbiór przekracza 154 tysiące pozycji”. I następnie zadaje wcale nie retoryczne pytanie: „Co sprawia, że nasze pokolenie tak żywo interesuje się przesłaniem artysty, który po nawróceniu na katolicyzm przyjął surowe zasady życia w klasztorze trapiistów w Kentucky?”.

Myślę, że chodzi tu nie tylko o zaciekawienie egzotyką życia pustelniczego, tak różnego od współczesnych wyobrażeń o sukcesie życiowym, ale raczej o autentyczny pokój serca, jakim promieniują jego teksty, w tym również fascynujący *Dziennik*. Zaciekawia nie tylko liczba internetowych pozycji, zdumiewająca jest również mnogość stron zapisanych przez samego Mertona.

„Swoich gości wypyttywał Józio o to, co słyszeli, czytali, widzieli. Był żarliwie ciekawy wszystkiego. Był uosobieniem ciekawości, doskonałym wcieleniem ciekawości” – tak o Józefie Czapskim napisał Adam Zagajewski; te słowa można odnieść do Tomasza Mertona. Tak go sobie wyobrażam – w swej zakonnej celi pochłania czasopisma, interesujących go pisarzy zasypuje listami pełnymi pytań; chce jak najwięcej wiedzieć, rozumieć; nie może spokojnie usiedzieć; pisze, komentuje, irytuje się, niecierpliwi, fotografuje, rysuje, maluje. Wystarczy rzut oka na indeks osób w jego *Dzienniku*. Kogóż tam nie ma! A potem ma do siebie pretensje, że zły z niego mnich, że żaden eremita: „To wszystko stawia problem prawdziwej samotności: nie mam jej tutaj. Tak naprawdę nie żyję jak prawdziwy eremita. Spotykam zbyt wielu ludzi, zbyt dużo pracuję, to miejsce jest zbyt głośnie, za łatwo dostępne. Ludzie ciągle tu przychodzą, a ja zbyt łatwo godzę się na odwiedziny, wywiady itd., zbyt często jeżdżę do miasta, za dużo bywam u ludzi, za dużo piję i to wszystko” – zanotował 18 kwietnia 1968 roku.

A przed podróżą na Wschód, po której tak wiele sobie obiecywał, zapisał pod datą 9 września: „Jestem całkowicie otwarty, mam nadzieję bez specjalnych iluzji. Po prostu cieszy mnie tak daleka podróż, chciałbym wiele skorzystać, uczyć się, zmienić i być może znaleźć coś lub kogoś, kto pomoże mi w moich duchowych poszukiwaniach”.

Jestem przekonany, że to właśnie owo poczucie niewystarczalności i braku czyniło z Mertona tak wdzięcznego i poszukiwanego partnera rozmowy. Nie przypadkiem Daisetz Teitaro Suzuki uznał go za jednego z najlepiej rozumiejących wschodnią duchowość. Sam Merton tak opisuje swoje rozmowy z nim: „Dwie długie i dobre rozmowy z Suzukim. Ma on teraz 94 lata, zgięty, powolny, głuchy, ale żywotny i niezwykle wrażliwy. (...) Te rozmowy były niezwykle przyjemne i niezwykle ważne dla mnie – zobaczyć i doświadczyć, że rzeczywiście istnieje głębokie porozumienie pomiędzy mną i tym nadzwyczajnym i prostym człowiekiem, którego książki z wielką uwagą czytam od dziesięciu lat” (20 czerwca 1964 roku).

Podobnie głębokie były kontakty Mertona z Czesławem Miłoszem, którego *Zniewolony umysł* podziwiał. Píše do niego: „Przede wszystkim chciałbym powiedzieć, że Pańską książkę uważam za jedną z najinteligentniejszych i najbardziej pobudzających, jakiej przeczytanie szczęśliwie mi się przytrafiło pierwszy raz od bardzo długiego czasu”. I dodaje: „To ważna książka, która sprawia, że większość innych książek na temat obecnej sytuacji człowieka wydaje się skrajnie niemądra”⁴. Tak pisał Merton w swoim pierwszym liście do Miłosza 6 grudnia 1958 roku. Dzieje tej przyjaźni trwającej dziesięć lat są przedmiotem innego referatu na tej sesji. W jednym z ostatnich listów pisanych 15 marca 1968 roku pisał Merton do Miłosza: „Absolutnie nie możesz powiedzieć o Kościele nic takiego, co by mnie potrafiło zaszokować. Jeśli pozostaję w Kościele, to z powodu zawiedzionej miłości i ze świadomością, że ja nie mógłbym być szczęśliwy poza nim, choć nie mam też żadnej pewności, że będę szczęśliwy wewnątrz niego. W rezultacie moje «szczęście» nie zależy od żadnej instytucji czy firmy. Jeśli idzie o Ciebie, to stanowisz część mojego «Kościoła» przyjaciół, którzy pod wieloma względami są dla mnie ważniejsi niż instytucja”. Rozwój tej przyjaźni mógłby być interesujący dla obydwu przyjaciół. Niestety i ona została tragicznie przerwana. Znamienne jednak, że jedną z ostatnich pocztówek w swoim życiu wysłał (21 listopada 1968 roku) właśnie do Miłosza („Wrote the card to Miłosz this morning”).

Zapewne rację ma Patrick Hart, utrzymujący, że Merton nigdy nie myślał o opuszczeniu zakonu, niemniej jednak jego zbliżenie do mnichów buddyjskich jest niewątpliwe. Czuł, że doświadczenie duchowe przekracza gra-

nice wyznaczone przez podziały religijne. Być może jest to testament, który pozostawił Thomas Merton właśnie nam, czytelnikom jego pism. Oto, jak podsumowuje czas spędzony w Indiach: „Te dni spędzone tutaj [w Dharamsalaj] były dobre. Miałem dużo czasu, by czytać i medytować, miałem też kilka niezwykle spotkań [z Dalaj Lamą – przyp. S.O.]. Dotychczasowe spotkania z buddystami były otwarte i szczerze, rozumieliśmy się całkowicie na naprawdę głębokim poziomie. Rozpoznawaliśmy w sobie pewną głębię duchowego doświadczenia i to jest pewne. Miałem wrażenie, że na tym poziomie buddyści mają większe doświadczenie niż kontemplacy katolicki” (6 listopada 1968 roku).

Można chyba mówić o dotykaniu Rzeczywistości, o początku rozdziału, którego nie dane było Mertonowi dopisać do końca. Jedno jest pewne. Od jakiegoś momentu znacznie istotniejsze były dla Thomasa Mertona impulsy płynące z otaczającej go rzeczywistości, niż z książek i tradycji Kościoła. Stosunek do wojny w Wietnamie i związanego z nią ruchu pacyfistycznego, do teologii wyzwolenia i poezji Trzeciego Świata, do pisarzy tworzących za żelazną kurtyną i autentyczny podziw dla nich, wreszcie do innych tradycji religijnych stały się istotnymi bodźcami określającymi jego spojrzenie na własne powołanie zakonne i na sam Kościół. Pozwalając, by „świat” wtargnął do jego zakonnej celi, Merton postrzegał go jako świat już tajemniczo przemieniony i zbawiony.

W przedziwny sposób, zasługujący na dalsze zgłębianie, wyprzedził w tym najnowsze intuicje teologiczne próbujące z powodzeniem pogodzić powszechność i jedyność zbawczego dzieła dokonanego w Jezusie Chrystusie z wielością religii, a więc i z mnogością uprawnionych dróg do Boga. Wystarczy wspomnieć takie nazwiska jak Jacques Dupuis czy Wacław Hryniewicz. Ten ostatni tak pisze: „Wyznawcy innych religii zbawiają się za pośrednictwem tradycji religijnych, które wyznają. Zbawcza moc ich własnych dróg nie stanowi konkurencji dla zbawczej mocy Chrystusa. Różne religie prowadzą do tego samego Boga. Choć drogi się różnią, cel ostateczny jest wspólny dla wszystkich. Jest nim zjednoczenie z Bogiem takim, jaki objawił się w Jezusie Chrystusie”⁵. I na koniec już ważny, jak mi się wydaje, fragment książki J. Dupuis *Chrześcijaństwo i religie*, w którym mowa jest o pożytkach dialogu: „Chrześcijanie mogą coś skorzystać z dialogu. Osiągną podwójne dobrodziejstwa. Z jednej strony wzbogacą własną wiarę.

⁴ Cytuję za: Thomas Merton, Czesław Miłosz, *Listy*, przekł. M. Tarnowska, Kraków 1991, s. 9.

⁵ Wacław Hryniewicz, *Chrześcijaństwo nadziei*, Kraków 2002, s. 327.

Dzięki doświadczeniu i świadectwu innych będą w stanie rozpoznać w sposób głębszy pewne aspekty i pewne wymiary tajemnicy Bożej, z których zdawali sobie sprawę z mniejszą jasnością i które zostały przekazane niezbyt jasno przez tradycję chrześcijańską. W tym samym czasie ich wiara zostanie oczyszczona. Szok spotkania obudzi niejednokrotnie pytania, zmusi chrześcijan do rewizji nieuzasadnionych opinii i do zniszczenia głęboko zakorzenionych przesądów albo do zmiany pojęć lub wizji zbyt wąskich, ekskluzywnych i negatywnych w stosunku do innych tradycji. Korzyści płynące z dialogu stanowią jednocześnie wyzwanie dla rozmówcy chrześcijańskiego⁶. Dla mnie te słowa najpełniej streszczają przesłanie życia i dzieła Thomasa Mertona.

2. *Monachi plangentis non docentis est officium*

Merton z przekąsem cytuje powyższe *adagium* w trudnym dla siebie czasie, gdy dotknął go zakaz publikowania w okresie wojny wietnamskiej. Interesujące, że właśnie pacyfistyczna działalność autora *Siedmiopiętrowej góry* stała się jednym ze źródeł jego popularności w Stanach Zjednoczonych. W Europie komunistycznej budziła ona mieszane uczucia. Nie do końca podzielał jego pacyfistyczny zapal Czesław Miłosz, który zbyt do brze znał pokojową politykę sowieckiego imperium.

Dla mnie stanowi ona raczej przykład znacznie głębszego napięcia towarzyszącego Mertonowi w kontaktach z instytucją, z przelożonymi zakonnymi i z Kościołem hierarchicznym. Nie uzurpując sobie prawa do pełnego przedstawienia tego nader złożonego problemu, chciałbym zwrócić uwagę na niektóre przynajmniej elementy tego napięcia, które, jak mi się wydaje, udało się autorowi *Siedmiopiętrowej góry* twórczo przezwyciężyć.

Warto może przywołać dłuższy fragment *Dziennika* z 3 marca 1964 roku, który jest przykładem trudności i sposobu reakcji: „Miałem nadzieję, że będę mógł ponownie opublikować kilka artykułów na temat wojny nuklearnej, które ukazały się wcześniej za zgodą Dom Gabriela – myśląc, że to wystarczy, gdy raz uzyskałem zgodę. Ale to nie tak. Nowy generał, Dom Ignacy, grzebiąc w papierach, zwołał spotkanie doradców i zdecydował, że te artykuły się nie ukazą. Tak oto nie wolno mi powiedzieć tego, co papież Jan powiedział w encyklice *Pacem in Terris*. Powód: «To nie jest sprawa

⁶ J. Dupuis, *Chrześcijaństwo i religie. Od konfrontacji do dialogu*, tłum. S. Obirek, Kraków 2003, s. 312.

mnicha, to zadanie biskupów». Istotnie, ma to swoje podstawy w tradycji monastycznej. *Monachi plangentis non docentis est officium* [Obowiązkiem mnicha jest płakać, a nie pouczać]. Ale – biorąc pod uwagę tutejsze sprawy: naszą produkcję sera i inne zadania «oplakiwania», jakie podjęliśmy, wydaje się rzeczą dziwną, że mnichowi zabrania się bronić prawdy, zwłaszcza kiedy prawda (w tym przypadku) jest straszliwie zaniedbana.

Ponury wgląd w ociężałość Kościoła, mimo wszystkich wysiłków, by go obudzić! To wszystko wpada w próżnię. Papież Pius XII i Żydzi, Kościół w Ameryce Południowej, traktowanie Czarnych w USA, katolicy wobec praw Francji w Algierii, katolicy niemieccy pod Hitlerem. To wszystko układa się w większy obraz i nasze kontemplacyjne skupienie nie robi wrażenia, jeśli widzieć w nim jeszcze jeden mały fragment, pasujący do mozaiki. To wszystko jest zbyt smutne i zbyt poważne, by powodować rozżalenie. Mam wrażenie, że moja nauka się zaczyna – dopiero się zaczyna, i że będę musiał poznać wiele strasznych rzeczy, nim zrozumieć prawdziwe znaczenie nadziei.

To żadne pocieszenie, tylko poczucie bezsilności w myśli, że człowiek jest męczennikiem sprawy. Nie jestem żadnym męczennikiem, tylko się obawiam. Chcę się zachowywać jak rozsądny, ucywilizowany i odpowiedzialny chrześcijanin mego czasu. Nie mogę tego robić, i powiedziano mi, że powinienem zrezygnować z tego – dobrze. Na rzecz czego? Na rzecz milczenia, które jest w głębszej i całkowitej znowie z siłami, które niosą ucisk, niesprawiedliwość, agresję, wyzysk, wojnę. Inaczej mówiąc milcząca znowa jest przedstawiana jako «większe dobro» niż uczciwy i zgodny z sumieniem protest – ma ona być częścią życia ślubami, życia dla «chwały Boga». Oczywiście, odrzucam znowę. Samo moje milczenie jest protestem, i ci, którzy mnie znają, mają tego świadomość. W końcu mogłem napisać wystarczająco dużo, by uczynić to rzeczą jasną. Ale nie mogę opuścić tego miejsca, by protestować, gdyż znaczenie każdego protestu zależy od mego bycia właśnie tutaj. W każdym razie, ostatecznie zostałem uciszony w sprawie wojny nuklearnej⁷. Oczywiście jest to sytuacja wyjątkowa, graniczna wręcz. Mogła doprowadzić do zerwania, do opuszczenia murów klasztornych. Tak się nie stało, choć, warto to przypomnieć, właśnie lata II Soboru Watykańskiego i okres posoborowy, to czas największego, od czasów reformacji, kryzysu życia zakonnego. Merton wytrwał z pełną świadomością słuszności wyboru. Wiedział, że pozostając mnichem, staje się wiarygodnym świadkiem wartości, o które walczył, a które pragnął urzeczywistnić nade wszystko we własnym życiu.

Widać to wyraźnie w refleksjach zapisanych w dniu pięćdziesiątych urodzin 25 stycznia 1965 roku: „Tak naprawdę to chciałbym po prostu w jakiś sposób «umrzeć». Potraktować te pięćdziesiąte urodziny jako punkt zwrotny i żyć bardziej zdany na wolę Bożą, mniej zajęty projektami i inicjatywami (które być może mają jakiś związek z Jego wolą). Bardziej oderwany od dzieł i wydarzeń, bardziej samotny. Być jednym z tych, którzy w zupełności oddani są kontemplacji, by po prostu iść za Chrystusem. Ale kimże ja tak naprawdę jestem?”.

Otóż tak naprawdę Mertona tylko to obchodziło; prawda o nim samym, to, co w życiu najważniejsze. Odpowiedzi nie mógł znaleźć poza klasztorem i poza wspólnotą. Choć nie wszystko mu się w życiu klasztornym podobało i z przenikliwością odnotowywał słabości i przywary przełożonych, nie potrafił wyobrazić sobie życia poza nim. Był głęboko przekonany, że jego miejscem jest Gethsemani. Potwierdza to jego sekretarz Patrick Hart: „Prawdę mówiąc, był bardzo czuły na punkcie swego statusu mnicha z Gethsemani, ponieważ krążyło wiele nieodpowiedzialnych plotek na temat jego rzekomego zamiaru zerwania zakonnych ślubów. W jednym z wcześniejszych listów, jakie od niego dostałem po wyjeździe, wspominał o pogłoskach, które do niego dotarły: «Pozdrów ode mnie całą bandę – mam nadzieję, że nie słyhać zbyt szalonych plotek. Powtarzaj proszę wszystkim, że jestem mnichem z Gethsemani i że mam zamiar nim pozostać do końca moich dni...». Później, w liście z New Delhi datowanym 9 listopada 1968 roku, zaledwie na miesiąc przed śmiercią, Thomas Merton pisał między innymi: «Mam nadzieję przywieźć ze sobą do mojego klasztoru coś z tej azjatyckiej mądrości, którą mam szczęście tu poznawać...»⁷.

Nie było to przywiązanie do klasztoru czy wspólnoty zakonnej jako takiej. Dla Thomasa Mertona zarówno klasztor, jak i wspólnota, były miejscem i drogą do zjednoczenia z Bogiem. Píše o tym w sposób poruszający pod datą 7 grudnia 1965 roku: „Co jest najważniejsze? Samoobjawienie Boga dla mnie w Chrystusie i moja odpowiedź wiary. Konkretnie oznacza to dla mnie moje obecne życie w samotności, akceptację jego prawdziwej perspektywy i oczekiwań oraz powolną pracę nad właściwym kierunkiem, która postępuje. Każdego dnia po trochu zdaję sobie sprawę, że moje dotychczasowe życie pęka i rozsypuje się w kawałki. Co dalej? Moja samotność nie jest skierowana, tak jak u Rilkego, ku poetyckiej eksplozji. Nie jest też całko-

⁷ Th. Merton, *Dziennik azjatycki*, op. cit., s. 12.

wicie uzależniona od religijnej świadomości. Czym więc ona jest? To, co do tej pory było tylko teologiczną koncepcją albo obrazem, winno być poszukiwane i kochane. «Połączenie z Bogiem!» Jest to takie tajemnicze, że w końcu człowiek chciałby zrobić wszystko, by tego uniknąć, gdy raz zda sobie sprawę, że to oznacza k o n i e c jego egotycznej samorealizacji, raz na zawsze. Czy jestem gotów? Oczywiście, że nie. A jednak moje życie jest skierowane w tym kierunku”.

Wydaje mi się, że mamy tu przykłady mistyki w stanie czystym. Merton jest dzieckiem swego czasu. Jest po lekturze Nietzschego, Freuda, Sartre’a, jest nie tylko uważnym czytelnikiem literatury XX wieku, on ją na swój sposób współtworzy. Jego tęsknota za zjednoczeniem z Bogiem jest opatrzona wielokrotnym cudysłowem i licznymi znakami zapytania. Ale być może dlatego do nas przemawia, dlatego szukamy w niej potwierdzenia i dla naszych nieśmiałyh intuicji.

I jeszcze jeden zapis, cztery lata późniejszy, z 26 marca 1968 roku: „Jestem posłuszny autorytetowi Kościoła, gdyż ufam, że Bóg wyprowadzi dobro zarówno z jego błędów, jak i jego dobrej woli. Ponieważ wszyscy jesteśmy grzesznikami, wszyscy popełniamy błędy, i jeśli będziemy miłośnikami i pokorni wobec siebie nawzajem, to Duch dokona reszty. Wszak jest coś takiego jak idolatria urzędu, a ja nie wierzę, że Papież jest kolejnym wcieleciem!”.

* * *

Trudno komentować te nader wyraziste teksty. Ukazały się, zgodnie z wolą ich autora, 25 lat po jego śmierci. Gdyby dzisiaj żył, może byśmy ich nie znali, może Merton, tak jak św. Ignacy Loyola, znalazłby drogę, by prawdę o Kościele włączyć w twórczą tkankę jego posoborowej rzeczywistości. Bóg chciał, by stało się inaczej. Wydaje mi się, że stanowią integralną część duchowego dziedzictwa autora *Siedmiopiętrowej góry*, i nie można tych fragmentów pomijać, nawet jeśli musimy przedzierać się przez setki tysięcy internetowych pozycji.